

skich uwodzicieli mas okazał się Himmler, który nie wywodząc się z cyganerii jak Goebbels i nie będąc zbrodźcą seksualnym jak Streicher, fanatykiem jak Hitler, awanturnikiem jak Goering czy stukniętym jak Rosenberg, „zorganizował masy w system dominacji totalnej”, a to dzięki przyjętemu przezeń założeniu, że w znakomitej swej większości ludzie są w pierwszym rzędzie nie wampirami czy sadykami, lecz poszukiwaczami posad i żywicielami rodzin<sup>12</sup>. A dokąd ją ów drugi tor, którym podążyła, doprowadził – dowiedzieliśmy się z *Eichmanna w Jerozolimie*: do stwierdzenia, że zło jest banalne, że potworności mogą się znakomicie obejść bez potworów, i że kłopot z Eichmannem na tym właśnie polega, że – wedle kompetentnych opinii doborowych psychiatrów – nie był on, podobnie wielu, wielu innym pomniejszonym współsprawcom zbrodni, ani potworem, ani sadyką, tylko okropnie, straszliwie, przerażająco (*sic!*) – tak samo jak oni – normalny. Ta normalność, powiada Arendt, o wiele bardziej przerażała niż wszystkie okropności razem wzięte...

Powodami upadku totalitaryzmu raczej niż jego źródłami (jak Hannah Arendt) przejmujemy się dziś najczęściej w naszych uczonych dociekaniach, a przecież „normalność” potworności nie mniej jest dziś okropna i nie mniej straszyc winna niż za życia Hanny Arendt... Gdyby Chipowi Frederickowi, pocziwemu, życzliwemu i dobrodusznemu dla swych kumpli przyjacielowi, powszechnie w miasteczku lubianemu, chętnemu do tańca, jak i różańca „amerykańskiemu chłopcu”, czy Lynndie England, równie pocziwej, dobrotliwej, uczynnej i usłużnej koleżance z pracy i towarzysze zabaw, powszechnie a nie bez racji lubianej w miasteczku dziewczynie, nie dostarczono powołania do wojska, nie wysłano do Iraku, nie odelegowano do nadzorowania więźniów w więzieniu Abu Ghraib, nie uczyniono panami życia i śmierci paruset sprzątniętych na chybił-trafił z ulic podejrzanych złoczyńców, i nie zalecono pomiatania i poniewierania więźniami, aż się do przypisanych im win popełnionych czy zamierzonych przyznają – nigdy byśmy się nie dowiedzieli (ba, nie domyślili się, nie zgadli czy nie wyobrazili sobie) do czego ta sympatyczna, roześmiana, skora do zabawy para młodych Amerykanów była zdolna (a prawdopodobnie nie dałaby nam ona najmniejszego do takich niecznych podejrzeń powodu). Nie wpadłoby nam do głowy, że – znalazłszy się z dala od domu w zamorskim kraju – ta mile uśmiechnięta i uprzejma dziewczyna zza lady odkryje w sobie talent do wymyślania coraz to bardziej wyszukanych i wyrafinowanych, a coraz to bardziej perwersyjnych i niegodziwych sposobów dokuczania i znęcania się nad powierzonymi jej kuratelą aresztantami, torturowania ich i odzierania z kolejnych warstw człowieczeństwa. Sąsiedzi i znajomi z ojczystych stron Fredericka i England do dziś jeszcze nie mogą i nie chcą uwierzyć w to, jak sobie ich ulubienicy

12 Por. H. Arendt, *The Origins of Totalitarianism*, Londyn 1986, s. 338.

i pupilkowie w tym dalekim kraju poczynali... Ale nie tylko oni nie potrafią sobie z tym faktem poradzić. Philip Zimbardo, psycholog jak mało kto dociekliwy i od dziesięcioleci już usiłujący przeniknąć tajemnice ludzkiego wobec ludzi okrucieństwa, w kwestii Chipa Fredericka, inicjatora i natchnienia gangu katów i dręczycieli z Abu Ghraib, musiał spasować:

Nic takiego w jego dotychczasowym życiu nie wykryłem, co pozwoliłoby przewidzieć, iż okaże się on zdolny do obelżywych i sadystycznych poczynañ. Wprost przeciwnie: wiele z jego życia pozwala się spodziewać, że gdyby mu nie kazano osiąść i pracować w takiej nienormalnej sytuacji, jego portret mógłby zdobić plakaty sławiące cnoty amerykańskiego żołnierza w celu skuszenia młodych Amerykanów do ochotniczego zaciągu<sup>13</sup>.

Zimbarda zresztą odkrycie to bynajmniej nie zaskoczyło, jako że potwierdzało tylko wniosek, do jakiego doszedł już przed laty: że, mianowicie, „postępki sadystyczne można wywołać u ludzi nie należących do «sadystycznego typu»” – a to przez manipulowanie sytuacją, w jaką ich wtrącono<sup>14</sup>. Na poczynania sadystyczne studentów Stanfordu wylosowanych do roli „strażników więziennych”, wobec ich kolegów równie losowo dobranych do roli ich więźniów, nie przyszło mu wówczas długo czekać: z uzasadnionej obawy o fizyczne i psychiczne zdrowie jednych i drugich, trzeba było stanfordski eksperyment przerwać już w pierwszym tygodniu.

A więc podpisałbym się ponownie pod moim stwierdzeniem, jakie zacytowałam z wydanego dwadzieścia lat temu studium... Nie będzie dla Ciebie niespodzianką, że trzymam się nieustępliwie drugiego z omawianych tu torów – i bardziej jeszcze niż przed dwudziestu laty przekonany jestem, że miałem rację tę drogę obierając. Do ostatecznego w moim przekonaniu argumentu na rzecz wyboru tej drogi (ostatecznego, bo moim zdaniem dowodzącego racji ponad wszelką wątpliwość) doszedłem ostatnio, studiując drugie (rozszerzone) wydanie wiekopomnego dzieła Christophera R. Browninga<sup>15</sup> podsumowujące wyniki jego badań nad dziejami 101 Zapasowego Batalionu Policji, a w szczególności jego poczynaniami w toku likwidacji Żydów spędzonych do Józefowa pod Lublinem. Batalion, jak pewnie pamiętasz, składał się z rekrutów nie nadających się z racji rozmaitych ułomności fizycznych do „normalnej” służby frontowej – ale jeśli tę okoliczność pominąć, był pod wszystkimi wzglę-

13 P. Zimbardo, *The Lucifer Effect*, wyd. cyt., s. 344.

14 Por. C. Hanez, C. Banks i P. Zimbardo, *Interpersonal dynamics in a simulated prison*, „International Journal of Criminology and Penology” 1/1983, s. 69–97.

15 Por. Ch. R. Browning, *Ordinary Men. Reserve Police Battalion 101 And The Final Solution In Poland*, Londyn 2001.

dami próbą zaiste reprezentacyjną „normalnego” społeczeństwa, nie trudniącego się na co dzień hurtową strzelaniną do starców czy do matek i ich dzieci. Uderzył mnie najbardziej rozrzut statystyczny reakcji policjantów z poboru na rozkaz strzelania. Nieco ponad 10% prosiło o zwolnienie ich, z tych czy innych powodów, z udziału w „akcji” i o skierowanie do innych „prac”. Mniej więcej tyle samo znalazło się „coraz entuzjastyczniejszych do zabijania ochotników”. Pozostali policjanci z przymusowego zaciągu znaleźli się w tym, co kolarze nazwaliby „peletonem”: ani nie rwali się do przodu, ani nie wlekli się w ogonie czy rezygnowali z wyścigu. Strzelali, gdy strzelać im kazano, ale nie przejawiali żadnego do strzelania zapału i nigdy by się do plutonów egzekucyjnych z własnej woli nie zgłosili.

Otóż taki rozrzut, pokrywający się zresztą znakomicie z wynikami uzyskanymi w eksperymentach Zimbardo i Milgrama, przypomina do złudzenia tzw. „krzywą Gaussa” (z racji jej kształtu zwaną czasami „rozrzutem dzwonowym”, czy też z racji jej nadzwyczaj częstego występowania w zbiorach najrozmaitszego gatunku – „rozkładem normalnym”, czy krzywą „przypadkowego (losowego) rozrzutu” albo „rozkładem prawdopodobieństwa”). O krzywej Gaussa możemy się dowiedzieć z Wikipedii, że „jeśli jakaś wielkość jest sumą lub średnią bardzo wielu drobnych losowych czynników, to niezależnie od rozkładu każdego z tych czynników, jej rozkład będzie zbliżony do normalnego, stąd można go bardzo często zaobserwować w danych”. Otóż to właśnie: „sumą wielu drobnych losowych czynników”... A któż z nas, istot ludzkich, nie jest, i na ciele i na duszy, taką właśnie sumą?! Zbierz na chybił trafił dowolną gromadę ludzkich istot, postaw każdemu z jej członków to samo, przyzwoite czy nieprzyzwoite, najbardziej szlachetne czy najbardziej nieludzkie zadanie – i możesz liczyć na to, że zagęszczenia reakcji, odkładane wzdłuż osi „gorliwi–cieplawi/oziębli–odmawiający wykonania”, będą do siebie łądząco podobne, bez względu na to, czy grupa składa się ze studentów Stanfordu, czy z odrzutów Wehrmachtu...

Ale oprócz dwu torów, wzdłuż których poszukujemy odpowiedzi na pytanie *unde malum*, jest jeszcze trzeci, który z upływem czasu wydaje mi się coraz istotniejszy, jako że ku najważniejszym ustaleniom wiodący, a więc ze wszystkich torów najtrafniej wybrany. Takiego toru dopatrzyć się można u Winfrieda Georga Sebald<sup>16</sup>, choćby w jego sugestii, że „nie potrafimy uczyć się z nieszczęść jakie sami na siebie sprowadzamy... Jesteśmy niepoprawni, i będziemy nadal brnęli wzdłuż ubitych szlaków w jakimś drobnym stopniu powiązanych z dawną siecią dróg”. Albo w Günthera Andersa „syndromie Nagasaki”<sup>17</sup>, dla którego możliwych konsekwen-

16 Por. W. G. Sebald, *Luftkrieg und Literatur*, Hanser 1999. Poniższa cytata, jak i pozostałe z tejże książki, tłumaczę z angielskiego przekładu: *On the Natural History of Destruction*, przeł. A. Bell, Nowy Jork 2004, s. 67.

17 G. Anders, *Nous, fils d'Eichmann*, wyd. cyt., s. 12; niżej, s. 47.

cji (jakie ten właśnie syndrom uprawdopodobnia) Anders ukuł pojęcie „globobójstwa”: „Czego się raz dokonało, można dokonywać ponownie, z wciąż malejącymi zahamowaniami”; dokonywać raz jeszcze, ale tym razem już „od niechcienia, mimochodem, bez zastanowienia i bez motywacji”. „Powtórka okropieństwa jest nie tylko możliwa, ale prawdopodobna; albowiem szansa wygrania bitwy o jej zapobieżenie jest węższa od szansy jej wygrania”.

Za Aleksandrem Kluge<sup>18</sup> Sebald przytacza odpowiedź udzieloną przez Fredericka L. Andersona, Brygadiera Sił Powietrznych Amerykańskiej Ósmej Armii, niemieckiemu dziennikarzowi Kunzertowi na zadane przezeń pytanie, czy Halberstadt, Kunzerta miasto rodzinne, można było ustrzec przed dywanowym zbombardowaniem. Anderson tłumaczył, że bomby były koniec końców „wielce kosztowne”, i że „praktycznie rzecz biorąc nie można było ich zaprzepaścić gdzieś w górach czy na innych bezludnych terenach, zważywszy że współziomkowie włożyli tak wiele pracy w ich wyprodukowanie”. Wyjątkowo szczerzy generał nie owijał istoty rzeczy w bawełnę. Jak sam Sebald wyjaśnia:

z chwilą gdy sprzęt wyprodukowano, przetrzymywanie samolotów bojowych i ich cennego ładunku w bezczynności na wschodnio-angielskich lotniskach sprzeciwiały się zdrowemu gospodarczemu instynktowi<sup>19</sup>.

„Instynkt ekonomiczny” nie miał być może pierwszego słowa, ale z pewnością miał prawo ostatniego głosu w debacie na temat stosowności i przyzwoitości strategii Sir Arthura Harrisa (przezwanego „bombowcem” koordynatora nalotów na miasta niemieckie) i płynących z niej pożytków; równanie miast niemieckich z ziemią zaczęło wszak nabierać rozpędu na dobre już grubo po tym, jak sprawozdania z wiosny 1944 roku doniosły rządowi i militarnemu dowództwu sojuszników o bezskuteczności kampanii bombowej; i po tym jak orzekły stanowczo i ostrzegły, że – wbrew zadeklarowanym swym celom i wiązanimi z nim powszechnie nadziejami – bombardowanie miast niemieckich nie pogorszyło stanu ducha ludności Niemiec, nie osłabiło jej lojalności wobec władz hitlerowskich i jej bitewnej gotowości, ani nie zmniejszyło w zauważalny sposób produkcji niemieckiego sprzętu wojennego – a więc nie zanośli się na to, by miało ono przybliżyć niemiecką kapitulację choćby o jeden dzień. W momencie, w którym ta ocena sytuacji dotarła do alianckich sztabów, magazyny wojskowe sojuszników pękały już od czekających na zrzućenie bomb, a hangary lotniskowe od kolejnych dostaw nowo wyprodukowanych bombowców. Rezygnacja

18 A. Kluge, *Unheimlichkeit der Zeit*, [w:] *Neue Geschichten, Hefte 1–18*, Frankfurt nad Menem 1977, s. 79.

19 W. G. Sebald, *Wojna powietrzna i literatura*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 2012, s. 18.

z wyzyskania całego tego olbrzymiego materiału śmiercionośnego zgodnie z jego założonym z góry przeznaczeniem sprzeciwiałaaby się istotnie „zdrowemu instynktowi gospodarczemu” albo – mówiąc prościej – byłaby krokiem „ekonomicznie bezsensownym”. Wedle cytowanych przez Maxa Hastingsa<sup>20</sup> kalkulacji angielskiego historyka A. J. P. Taylora, obsługa kampanii bombowej w Niemczech skonsumowała przecież jedną trzecią całej Brytyjskiej produkcji wojennej...

Decyzje zrzucenia bomb atomowych 6 sierpnia 1945 roku na Hiroszimę, a w trzy dni później na Nagasaki, uzasadniano *ex post facto* potrzebą zmuszenia Japonii do niezwłocznej kapitulacji, a więc także uratowania życia ogromnej rzeszy amerykańskich żołnierzy, którzy niechybnie ponieśliby śmierć lub doznali kalectwa, gdyby doszło do zbrojnego desantu na wyspy japońskie. Sąd historii wciąż jeszcze nad tą kwestią deliberuje – ale przytoczona przed chwilą oficjalna wersja motywów atomowego ludobójstwa została ostatnio przez amerykańskich historyków zakwestionowana w powołaniu na towarzyszące użyciu bomb atomowych, ale ujawnione stosunkowo niedawno, okoliczności. Jak twierdzą dzisiejsi krytycy, już w lipcu 1945 roku władze Japonii gotowe były do kapitulacji. Tylko dwa posunięcia sojuszników dzieliły ją od złożenia broni: zgoda Trumana na niezwłoczne przystąpienie Związku Radzieckiego do wojny przeciw Japonii oraz zgoda uczestników konferencji w Poczdamie na pozostanie Mikada na japońskim tronie. Truman wszakże zwlekał uparcie z ogłoszeniem swej decyzji, czekając na wiadomość z Alamo Gordo w Nowym Meksyku, gdzie przygotowywano próbę odpalenia świeżo ukończonego prototypu atomowej bomby. Wiadomość o pomyślnym wyniku próby, a i o tym, że „przeszedł on wszystkie nasze oczekiwania”, dotarła do Poczdamu 17 lipca. Nie chcąc, by nowa a niezwykle kosztowna technika wojenna poszła na marne, Truman grał odtąd na czas. Rzeczywistą stawkę w tej grze wydedukować można łatwo z triumfalnej deklaracji prezydenckiej ogłoszonej na łamach „New York Times” nazajutrz po spopieleniu Hiroszimy: „Poszliśmy o najzuchwalszy w ludzkich dziejach zakład naukowy, zakład w wysokości dwóch miliardów dolarów – i wygraliśmy”. Nie można zmarnować dwu miliardów dolarów. I też ich nie zmarnowano: gdy pierwotny cel wydatku znikł, zanim doszło do spożytkowania nabytku, trzeba było znaleźć (i też skwapliwie znaleziono) inne, przywracające wydatkom „sens gospodarczy” cele.

16 marca 1945 roku, gdy Niemcy były już na kolanach, a losy wojny praktycznie przesądzone, wspomniany tu już Arthur Harris wysłał 225 bombowce typu Lancaster i 11 myśliwców typu Mosquito z rozkazem zrzucenia 289 ton wysoce wybuchowych materiałów i 573 ton substancji zapalnych na Würzburg, średniej wielkości miasto o 107 tysiącach mieszkańców, bogate w historię i skarby sztuki, a ubogie przemysłem. Między 9:20 a 9:37 wieczór 5000 mieszkańców miasta (w tym 66%

20 M. Hastings, *Bomber Command*, Londyn 1979, s. 349.

kobiet i 14% dzieci) straciło życie, a 21 000 domów mieszkalnych stanęło w płomieniach. Tylko 6000 mieszkańców miasta znalazło po odlocie samolotów dach nad głową. Herman Knell<sup>21</sup>, który w wyniku skrupulatnych badań archiwalnych ustalił powyższe liczby, pyta dlaczego wyznaczono do doszczętnego zniszczenia miasto wyraźnie pozbawione jakiegokolwiek wagi strategicznej (okoliczność potwierdzona pośrednio, przez przemilczenie, przez oficjalną Historię Królewskich Sił Powietrznych, skrzętnie notującą najskromniejsze nawet strategiczne sukcesy RAF-u). Przebadawszy kolejno i zdyskwalifikowawszy jedna po drugiej wszystkie alternatywne przyczyny tej decyzji, Knell pozostaje przy jedynej sensownej odpowiedzi na swe pytanie: Arthurowi Harrisowi i Carlowi Spaatz (ówczesnemu dowódcy Amerykańskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii i Włoszech) zabrakło w początkiem 1945 roku celów wartych niszczenia:

Kampania bombowa trwała mimo oczywistej zmiany strategicznej sytuacji. Demolowanie niemieckich miast ciągnęło się do końca kwietnia. Powstawało wrażenie, że raz wprawionej w ruch wojskowej maszyny zatrzymać się nie da: żyła własnym życiem i kierowała własną logiką. Pod ręką był olbrzymi nagromadzony sprzęt i potrzebne do jego użycia rzesze żołnierzy. To te względy musiały skłonić Harrisa do ataku na Würzburg...<sup>22</sup>

Ale dlaczego Würzburg właśnie? Wzgląd na wygodę po prostu. Jak wykazały uprzednie loty zwiadowcze, „miasto dawało się łatwo rozpoznać przy użyciu dostępnej (podówczas) elektroniki”, a od nacierającej armii znajdowało się w odległości dostatecznie dużej dla zminimalizowania ryzyka zbombardowania przez pomyłkę wojsk własnych. Krótko mówiąc, Würzburg był „łatwym i pozbawionym ryzyka celem”. Był to Würzburga grzech niezamierzony; ale przewina z rodzaju tych, jakich mimowolnemu grzesznikowi nie wybaczy maszyna wojskowa „raz w ruch puszczona”...<sup>23</sup>

W *La violence nazie: une généalogie européenne*<sup>24</sup> Enzo Traverso wysuwa tezę o „barbarzyńskim potencjale” cywilizacji nowoczesnej. W studium poświęconym przemocy nazistowskiej dochodzi on do wniosku, że zagłada w nazistowskim wydaniu była wyjątkowa w tym tylko sensie, że dokonała syntezy znacznej liczby

21 Por. H. Knell, *To Destroy a City: Strategic Bombing and Its Human Consequences in World War II*, Londyn 2003; szczególnie s. 25, 330–331.

22 Tamże.

23 Tamże.

24 Tu omawianym na podstawie angielskiego przekładu: E.Traverso *The Origins of Nazi Violence*, przeł. J. Lloyd, Nowy Jork 2003.

środków zniewalania i niszczenia już wypróbowanych, każdy jak dotąd z osobna, w toku dziejów Zachodniej cywilizacji:

Bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki dowodzą, że antyświęceniowy sentyment nie jest warunkiem koniecznym technologicznej masakry. Zarówno obie bomby atomowe jak i obozy nazistowskie były elementami „procesu cywilizacji”, manifestacjami jednej z jego potencji, jednym z jego obliczy i jedną z możliwych jego odnóg<sup>25</sup>.

Traverso kończy swe rozważania ostrzeżeniem: nie ma żadnych podstaw po temu, by wykluczyć możliwość skryształizowania się w przyszłości innych syntez – nie mniej od tamtej morderczych. Liberalna, cywilizowana Europa dwudziestego wieku okazała się przecież laboratorium gwałtu. A ja dodałbym, że nic nie wskazuje na to, by owe laboratorium zamknięto i jego działalności zaprzestano u progu dwudziestego pierwszego stulecia.

Günther Anders<sup>26</sup> pyta: czyżbyśmy byli w wieku maszyn ostatnimi relikami (przed-maszynowej) przeszłości, którzy nie zdołali się (lub których nie zdołano) jak dotąd oczyścić z zakażeń pozostałych po dawnych potwornościach? I odpowiada: jeśli potworności, o których się dziś mówi, dokonywano wczoraj, to nie dlatego, że jeszcze trwały (nie były jeszcze do reszty wytrzebione...), a odwrotnie – dlatego, że już się wtedy pojawiły... No bo, przypomnijmy, maszynowo spreparowane potworności kiedyś się pojawiły (miały swój początek), ale nie znaczy to, by miały mieć wyznaczony koniec; by zagościły w ewolucji ludzkiego współzycia na chwilę tylko, a tym bardziej, by miały wprawiać w ruch mechanizmy, które w ten czy inny sposób doprowadzą do ich ponownego zniknięcia. Przeciwnie, raz powstały mechanizm separowania mocy technicznej od moralnej wyobraźni jest od pierwszej chwili samo-napędowy; potworność się nie samounicestwia, potworność się samodtwarza, i to, co było szokującym przełomem (odkryciem, olśnieniem, rewelacją), przeobraża się w odruch naturalny i rutynę. Hiroszima była szokiem. Nagasaki obeszło się już bez szoku. I przeszło bez większego echa.

A dlaczego owe potworności się pojawiły? Anders, w moim przekonaniu, szkicuje trzeci tor wiodący do odpowiedzi do pytanie *unde malum*: tor, rzekłbym, metafizyczny. Można by dopatrzeć się prapoczątków tego toru w Heideggerowej wersji *techne* – ale o dziwo ów renomowany filozof bycia-w-czasie umieścił *techne* poza czasem, w metafizyce wszelkiego bycia, bycia jako takiego, czyniąc je (*techne*) atrybutem bycia w gruncie rzeczy czasoodpornym, niezmiennym i niezmiennial-

25 Tamże.

26 G. Anders, *Nous, fils d'Eichmann*, wyd. cyt., s. 108.